

Po długich nocnych rodaków rozmowach tym razem o Poznaniu, przyszedł nocą Mickiewicz. Wyciągnął astralną rękę i rzekł: — Niewdzięczni.

Czekałem w najlepszej wierze, co dalej — i czekałem na próżno. Ani słowo więcej nie padło z ust Mistrza. Był w nocnej bieliźnie i zapewne zmarł nieco (kaloryfery u mnie grzeją słabo), więc zgrzytnął tylko zębami i odszedł. Zbudziłem się w potach. Sięgnąłem po Uniwersalny Sennik Egipski (po babce), z niecierpliwością wertowałem kartki szukając wytłumaczenia zjawy. Poezją się nie parę — myślałem — więc skąd te święte słowa oburzenia Pana Adama.

„Mistrza widzieć — czytałem w owej proroczej księdze (w przedwojennym wydaniu 10 tys. egz.) — sprawnie załatwić urzędowy interes“. Więc to nie to. Dwadzieścia pięć stron dalej: „Poetę nocą oglądać — otrzymasz odpowiadające ci mieszkanie“. — Ha, zabawni byli ci Egipcjanie. Im dobrze, oni w piramidach, bez kwaterek i metrów powierzchni mieszkalnej. Cofnąłem się z ciężkim sercem i teraz wertowałem pod literą „N“. Jest. Zaraz przypomniałem sobie, że poprzedniej nocy rozmawiałem o pomnikach w Poznaniu. „Niewdzięcznym być — głosił nieznan mi bliżej arcykapłan znad Nilu — pomnik wdzięczności wystawiać poecie“. Nie, stanowczo godna to księga. A już chciałem ją sprzedać i za otrzymane pieniądze (paniusie dobrze zapłaci — zapewniał antykwariusz) nabyć „Brajlaków“. Cóż, ja zostaje przy miedracach egipskich.

Nie mamy w Poznaniu pomnika Poety? Nie mamy. Jak temu zaradzić? Opowiadali złośliwi i cyniczni znajomi, że rada znajduje się w mig.

— Zarty. Przez 10 lat od rad i podobnych życzeń zaczynano i na podobnych życzeniach i radach kończono, a wy mi teraz...

— Nie przerywaj, naiwny — odrzekł tak głośno, że rzeczywiste przestałem — a słuchaj! Wpierz kilka pytań.

— Był nie z produkcyjnej literatury — złożyłem ręce. Nie czytają.

— Ha, strach ich obleciał. Spokojna głowa. Tym razem jeszcze pomówimy o sztuce (ich słowa, nie moje).

Wstrzymałem oddech, nastawiłem ucha.

— Czy są w Poznaniu ubodzy rzeźbiarze?

Nie wiem, czy są w Poznaniu ubodzy rzeźbiarze, ale tak krzyknął i machał rękami, że kiwnąłem głową: są!

— Czy trzeba im dać zarobić?

— Jasne — teraz odpowiedziałem ze spokojnym sumieniem.

— Proponujemy — ciągnął równie hałaśliwie — założenie SPP. Wiesz?

— Wiem, co to jest — zawolałem uradowany, że i ja mogę mieć swoje zdanie w tej zasadniczej dyskusji na temat sztuki. — To jest Stowarzyszenie Potrzebujących Pieniądzy.

— Ha, ha, ha — szyderczy głos rozległ się szeroko, aż przechodnie pod oknami podnosili głowy. — O, naiwny! (Widać lubili to słowo). To Spółdzielnia Prywatnych Popiersi. Wspaniała instytucja. Wykonuje zlecenia od ręki, bez czekania, nawet przy tłoku. Prawie na poczekaniu, a la minute, jak słynni przed wojną fotografowie Jarmarczni. Każdy może zamówić we własnym imieniu, dyskretnie, zapewniona. Już w niektórych poznańskich gabinetach takie honoralne pomniki stoją...

Nie wiem, czy powstanie TPP — cynikom nie wierzę. Ale wiem, że PPP (Pracownia Publicznych Pomników) znalazłaby w Poznaniu pole do popisu. Nie znam tego miasta sprzed wojny, słyszałem jednak, że stał tu dostojny Mickiewicz, Kościuszko perkatonosy i kilku innych zacnych mężów.

Prozerpina czy Andromeda w Parku Kasprzaka nie zrobił wylomu ponurej regule (jakkolwiek rzeźba to figlarna i przedstawienie naszych Wielkich w równej ubogości szat byłoby kłopotliwe). Regula owa brzmi: miasto nasze jest bez pomników — nie ma ani jednego! Tymczasem postać wykuta, jeśli nie w marmurze, to choćby w piaskowcu, jest nie tylko drogowym punktem orientacyjnym dla zabłąkanego przybysza z innych okolic, i nie tylko miejscem swarłiwej ptasiej gawędy, lecz żywym dokumentem nieustającej wdzięczności, rozumnej tradycji i świadectwem ambicji kulturalnych w miastach. Nasze ambicje, ach, na Jowisza, nie szarpmy nerwów do końca.

Ojcowie miasta! — apostrofa ta dotyczy wszystkie zainteresowane urzędowe szczeble i pionierzy według kompetencji i niezależnych kompetencji — czekamy i trzymamy palec na szczęście. Czy nas słyszycie?!

Przy okazji, nie zapomnijcie, że Mickiewicz nie jest jedyny. Ja nie chcę więcej styczności z duchami. Jeśli się pokaże On lub kto inny — odeślę. Dokąd? Adres zanotowałem w Senniku.

PRZEMYSŁAW BYSTRZYCKI

NOWY ŚWIAT

TYGODNIOWY

DODATEK „GŁOSU“

Niedziela, 30 X 1955

Rok VI Numer 42

Istotny problem nauczania

„W celu dalszego podniesienia socjalistycznego, wychowawczego znaczenia szkoły ogólnokształcącej i zapewnienia uczniom kończącym szkołę średnią warunków swobodnego wyboru zawodu, przystąpić do wprowadzenia nauczania politechnicznego w szkole średniej i podjąć kroki w celu przejścia do powszechnego nauczania politechnicznego.“ (Z uchwał XIX Zjazdu KPZR).

Przed wszystkim — co to znaczy: politechniczne nauczanie?

Znaczy to, że uczniowie już w szkole ogólnokształcącej zapoznają się z ogólnymi naukowymi zasadami produkcji, zarówno przemysłowej, jak i rolnej; znaczy to, że młodzież już w szkole zdobywa umiejętność obchodzenia się ze sprzętem produkcyjnym.

Mechanizacja, automatyzacja — oto cechy charakterystyczne dzisiejszej produkcji radzieckiej. Ci, którzy tą mechanizacją i automatyzacją mają kierować, muszą być ludźmi uzbrojonymi nie tylko w kwalifikacje zawodowe, ale i w wiedzę ogólną.

Ciążenie szkół w kierunku humanistycznym, jednostronność wiedzy w jaką dotychczas zaopatrywały one młodzież na drogę życiową, dawały w efekcie absolwentów wcale albo bardzo słabo do produkcji przygotowanych, niekiedy wręcz niechętnych produkcji. Dzisiaj, potrzebne budowie — te, które już rosną i te, które jutro budowane będą na podstawie dziś robionych projektów, osiągnęły wysoki poziom techniki. Stawiają one szkołom ogólnokształcącym wymagania inne: dajcie nam młodzież wszechstronnie przygotowaną; dajcie nam ludzi, którzy potrafią szybko opanować wszelką produkcję, którzy są do-

Jak wszechstronnie system nauczania politechnicznego przygotowuje młodzież do czynnego udziału w życiu gospodarczym kraju, niech świadczy przykład innej szkoły moskiewskiej — „Pamięci W. I. Lenina“. Według programu politechnicznego nauczania — w klasach I — IV mają się odbywać tzw. lekcje pracy. Zajrzyjmy do klasy IV. Dzieci zajęte są „produkcją“ spadochronów z papieru. Nie od razu nauczysz się tej trudnej sztuki. Wystarczy, by jedna nitka była dłuższa od pozostałych, a już spadochron, zamiast utrzymać się w powietrzu — spada. Wiosną, lekcje pracy odbywają się pod gołym niebem, na działce szkolnej. Każdy uczeń ma

swoją grządkę i obowiązek, nie — odpowiedzialność za jej plony.

A co robią uczniowie klas od V do VII?

Ci zajmują się już poważniejszą pracą. Spod małych ale zwinnych rąk wychodzi najprawdziwsza produkcja z drzewa i metalu.

Im wyższa klasa, tym bardziej skomplikowana, tym bardziej trudna, większej wiedzy teoretycznej wymagająca jest produkcja, z którą młodzież się styka.

Czytelnik polski chyba powie: to wszystko jest mądre i ciekawe a przede wszystkim — bardzo przydatne w życiu: dlaczego więc my tego systemu u nas nie wprowadzamy?

Warto się nad tym zastanowić. (BP)

Dr Wł. Krzyżaniak

MATEMATYKA HARMONIJNYCH DŹWIĘKÓW

INTENSYWNE ŻYCIE MUZYCZNE NASZEGO ŚRODOWISKA MA JUŻ W CAŁYM KRAJU USTALONĄ OPINIĘ. TŁUMNOŚĆ SAL KONCERTOWYCH I WYSOKA KULTURA MUZYCZNA AUDYTORIÓW UDERZA RÓWNIEŻ NASZYCH GOŚCI ZAGRANICZNYCH, CZEMU NIEJEDNOKROTNIE DAWANO PUBLICZNY WYRAZ. SĄDZIMY, ŻE CZYTELNIKA ZAJMIE PONIEŻSZA OPÓWIEŚĆ, KTÓRA ZAPROWADZI JEGO MYŚL W REJONY, GDZIE MUZYKA SPOTYKA SIĘ NIEOCZEKIWANIE, ALE W NAJNATURALNIEJSZYM PRZYMIERZU — Z INNYM WSPANIAŁYM WYTWOREM LUDZKIEGO GENIUSZU: MATEMATYKĄ.

25 wieków dzieli nas od czasu, gdy „związek pitagorejski“ stanowił intelektualną pódchodnię Wielkiej Grecji. Twórcą jego, Pitagoras z Samos, to postać po sągowa i postać-legenda zarazem. Autorytet najwyższy w społeczności uczniów.

„AutOS efa“

„On sam (tak) powiedział“ — było w dyskusyjnych spięciach pitagorejczyków nieodparnym, ostatecznym argumentem, przesadzającym wynik starcia przeciwników. „AutOS efa“: — stało się przysłowiem, ale też obrazuje kretyt zaufania, jaki u uczniów może osiągnąć nauczyciel. Wysoki rygor etyczny związku „pitagorejski tryb życia“ powściągliwego, odda-

nego tylko nauce i doskonalości wewnętrznej — oto w skrócie atmosfera w Krotonie, z przepaści czasu urzekająca zastępy entuzjastów.

MUZYKA I LICZBA

Matematyka była namiętnością pitagorejczyków. „Wszystko ko jest liczbą“ — mawiał sam przywódca związku, w czym, trzeba przyznać, popadł w pełną jednostronną obsesję. Matematyka wszakże — w rozumieniu Greków — stanowiła najidealniejsze szranki intelektualnej szermierki, zadowalając przy tym potrzeby estetyczne. Muzyka, „umiejętność Muz“, miała dla nich moc oczyszczającą. Staje się psycho logicznie zrozumiałe, że zapragnęli „zmatematyzować“ muzykę. Nastąpiły doniosłe odkrycia. Ruch jest przyczyną dźwięku, można więc ująć go ilościowo. Drgania ciała dźwięczącego dają się liczyć. Im częściej drga, tym dźwięk jest wyższy. To stwierdzenie Archytasa, wybitnego pitagorejczyka, uprzytomni sobie każdy z nas, przywołując na pamięć pewną, na pozór bezmyślną, a jednak pouczającą zabawę z dzieciństwa. Oto, trzymając sprężysty drut w ręce, biegnę jako dziecko wzdłuż metalowych prętów płotu, ciesząc się swoistą „muzyką“ mego instrumentu, drgającego rytmicznie wskutek do ciskania go do prętów płotu. Kiedy w ciągu 1 sekundy prze mierzę drogę wzdłuż... 261 prętów, trzymane w ręku „ciało dźwięczące“ wykona 261 drgań i wyda ściśle określony dźwięk. Przyspieszając bieg, obserwuję podnoszenie się dźwięku wskutek wzrostu liczby drgań. Przy około 523 drganiach na sekundę dźwięk będzie dwa razy wyższy niż poprzednio. Tak rozumiemy naturalną ideę pitagorejczyków, że w zjawiskach i rzeczach realne są tylko ich cechy ilościowe. Liczba jest zasadą nie tylko dźwięków, ale w ogóle „zasadą bytu“. Ale oto okazuje się, że wysokość dźwięku można też podnieść nie tylko przez zwiększenie częstości drgań ciała dźwięczącego. W „harmonice“ pitagorejskiej zwraca się uwagę na fakt, że skrócenie długości ciała przy-

nosi skutek ten sam. Nie inaczej postępuje też skrzypek, przyciśnięciem palca „skraca- jąc“ dźwięczącą strunę. Oto i dwa matematyczne ujęcia wysokości dźwięku: jest on tym wyższy im większa częstość drgań struny lub im jej długość jest mniejsza. Monochord pitagorejczyków, ich klasyczny instrument jednostrunny, służył do demonstracji tych praw, stanowiących podstawy konstrukcji współczesnych fortepianów koncertowych. Grecy byli narodem o dużym poczucie, ponosiła ich wyobraźnia. Tak i pitagorejczycy, zafascynowani swymi odkryciami na gruncie „harmoniki“, przenieśli je z akustyki na szerokie wody wszelkich zjawisk fizycznych. W astronomii, innej swej wielkiej pasji, uogólniając odkryte prawa, wystąpili z tezą, że szybkość ruchu planet jest tym większa im mniejsza jest jej odległość, w czym ubiegli prawa Keplera. Tak więc dalej snując swe matematyczne spekulacje, napełnili Wszechświat „muzyką sfer“, wydawaną ruchem ciał niebieskich. Wszechświat, ustrój porządku matematycznego i harmonii — stał się Kosmosem, czyli ładem, którym rządzi wszechpotężna Liczba, a w którym dźwięczy kosmiczny symfonia dźwięków, niesły szalna dlatego, że dźwięczy nieustannie. Używając słownictwa fizyki współczesnej, byłaby to swoista symfonia „ultradźwięków“ niesłyszalnych, zważywszy na zakres słyszalności dźwięków dla ludzkiego ucha, obejmujący dźwięki o częstościach drgań od 16 na sekundę (dźwięk „najgrubszy“) do 30 000 drgań na sekundę (dźwięk „najcieńszy“). Naddźwięki o częstościach drgań ponad 30 000 na sekundę mogą przedstawiać prawdziwą „symfonię śmierci“. Drobnoustroje, atakowane nad dźwiękiem giną, a krew ulega rozpadowi. O tym wszakże nie wiedzieli pitagorejczycy. Instrument ultradźwiękowy o odpowiednio wielkiej częstości drgań oznaczałby zagładę artysty i audytorium, chociaż przyszłaby ona niezmierzalną, jak prawdziwa „cicha śmierć“.

ISTOTA HARMONII

Pitagorejczycy byli też pierwszymi, którzy harmonię muzyczną nazwali po prostu i trafnie — określonym stosunkiem częstości drgań współdźwięczących układów. Harmonijny współdźwięk dają tak dwie struny, dźwięczące o częstościach 523,2 i 261,6, a więc których stosunek częstości jest 2:1, co oznacza „oktawę“ jak C:C. Stosunek częstości drgań

1) Mianowicie dźwięk c, który można odnaleźć na klawiaturze, przedstawionej na rysunku.

(Ciąg dalszy na str. 3)

Z TEK I TATRZAŃSKIEJ FOTOGRAFIKA MAKSYMILIANA MYSZKOWSKIEGO



Nad Czarnym Stawem.



Odpoczywamy w dolinie Roztoki.
Fot. Maksymilian Myszkowski

Przed premierą „INTRYG I MIŁOŚCI” w Teatrze Polskim

Teatr Polski przygotowuje na II połowę listopada br. premierę arcydzieła Fryderyka Schillera „Intryga i miłość”. Zapowiedziana inscenizacja zbiega się z zainicjowanymi przez Światową Radę Pokoju uroczystościami 150 rocznicy śmierci niemieckiego poety. Nie od rzeczy więc będzie, jeżeli pokrótce przypomnę czytelnikom postać, a zwłaszcza dzieło wielkiego klasyka literatury światowej.

Po jednostkowej próbie Lessinga („Emilia Galotti”) dopiero okres Burzy i Naporu podejmie w literaturze niemieckiej tematykę konfliktu dwóch światów: absolutyzmu feudalnego i rodzącego się mieszczaństwa. W dramatach Lenza, Wagnera, Leisewitza; w poezji Bürgera i Schubarta masowo zaczynają pojawiać się akcenty społeczne i polityczne — i one właśnie, obok „Umowy społecznej” Rousseau oraz wczesnej twórczości Goethego (Werther i Goetz v. Berlichingen) wywierają olbrzymi wpływ na młodego Schillera.

Poeta ma w dniu prapremiery „Intrygi i miłości” 24 lata i pierwsze próby literackie, zwłaszcza zaś sceniczne, za sobą. Jest twórcą znanego w całych Niemczech dramatu „Zbojcy” (1781) i słabszej, choć też znakomitej tragedii „Sprzyśnięcie Fiesca w Genui” (1783).

Niesposób zrozumieć właściwie wielkość dzieła młodego poety bez zapoznania się, choćby w najogólniejszym rysie, z warunkami, w jakich wyrósł jego talent. Niemcy XVIII wieku to około 300 suwerennych królestw, księstw i wolnych miast. Wirtembergia, ojczyzna Schillera, jest właśnie jednym z takich drobnych państw, absolutystycznie rządzone przez księcia Karola Eugeniusza. Zbrodnia, przekupstwo, marnotrawstwo, intryga i rozpusta panują wszechwładnie na dworze małego monarchy. Dowodem panoszącej się ohydy mogą być umowy Karola Eugeniusza z dworem francuskim: książę wirtemberski zobowiązuje się w nim za roczną opłatą 325 000 liwrów trzymać w pogotowiu bojowym 6000 żołnierzy na usługi burbońskiego tronu. Niebawem liczba wojsk zostaje podwojona, a opłata za nie wzrasta proporcjonalnie. Samowola księcia osiąga szczyt w roku 1786, kiedy to sprzedaje on kompanii holendersko-wschodnio-indyjskiej pułk piechoty i kompanię artylerii, użytych później przez kupców holenderskich do kolonizacji południowej Afryki.

W Wirtembergii handel żołnierzami łączący się musiał nieodzownie z kradzieżą ludzi — młody mężczyzna nie mógł być w tym kraju pewnym swego losu nawet we własnym mieszkaniu. W okresie „japanek” książęcy werbownicy potrafiли i z łóżek wyciągać materiał nadający się na sprzedaż...

Oddajmy głos Schillerowi — oto jak poeta charakteryzuje stosunki w swojej ojczyźnie w słynnej scenie z kamerdynerem z II aktu „Intrygi i miłości”:

(Stary kamerdyner księcia wnosząc skrzynkę z kosztownościami):

Kamerdyner: Jego Wysokość Książę poleca mi łaskom Milady przysłać jej na wesele te brylanty. Właśnie nadeszły z Wenecji.

Lady Milford — (otworzyła skrzynkę i cofnęła się przerażona):

Człowieku! — Ile zapłacił twój książę za te kamienie?

Kamerdyner (chmurnie) — Nie kosztują go ani halera.

„Jeżeli sprawiedliwość ślepie dla złota i pozostaje w służbie zbrodni... jest rzeczą sceny ująć wagę i męczeństwo zbrodni przed strasliwym trybunałem...” — tej swojej zasadzie pozostaje Schiller wierny w „Intrydze i miłości”. Potrafi on, wśród wszystkich twórców okresu Burzy i Naporu, zająć najbardziej zdecydowane i określone stanowisko w sporze dwóch klas. Bohaterowie dramatu, Luiza i Ferdynand — (dzieje ich miłości są głównym wątkiem tragedii) — uosabiają te siły narodu, które są powołane do obalenia absolutyzmu

feudalnego. „Intryga i miłość” — to nie jest już chłopięcy bunt „Zbojców” — to już określona, silna tendencja polityczna. A przecież wymowa artystyczna i siła dramatu nie polega wyłącznie na konsekwentnym przeciwstawieniu mieszczaństwa i feudalów. Najwyższą rangę artystyczną wydaje się przynosić dzieło świetnie uogólnione własne przeżycie autora. Osoby, które Schiller wywołał z życia i przedstawił oskarżając publiczności, to właśnie Karol Eugeniusz, hrabia v. Hohenheim i cała plejada pochlebców i lotrów z wirtemberskiego dworu.

Osią całego utworu i główną jego bohaterką jest córka mieszczańska — Luiza. W losach scenicznych tej postaci zapowiada poeta czasy, które mają przynieść z sobą zawalenie się różnic stanowych, które uczynią człowieka człowiekiem. Sądził on, że zmiany te przyniesie z sobą mieszczaństwo, sięgające po władzę — ówczesna rewolucyjność i demokracja tej klasy usprawiedliwiały takie sądy.

Ferdynand i Luiza, mimo iż autor czyni z nich zapowiedź nowych czasów, przegrywają w tragedii swój los. Stara konwencja społeczna okazuje się silniejszą od nich — muszą oni oboje umrzeć skoro razem żyć nie mogą.

Schiller uczynił olbrzymi krok naprzód od czasów „Zbojców”. Porównując rysunek postaci w obu utworach, docho-

dzimy do wniosku, że „Intryga i miłość” pisał mistrz charakterów ludzkich, wielki realista. Postać Luizy — nie bez słuszności — uważana jest do dziś za jeden z najznakomitszych typów kobiecych w niemieckiej literaturze dramatycznej. Schiller powiedział sam o sobie, że w „Zbojcach” porywał się na malowanie człowieka zanim w ogóle pierwszego człowieka spotkał.

MICHAŁ MISIŃSKI

Jak będą pisać Chińczycy?

Wei Tsue

członek Komitetu do Spraw Reformy Pisma Chińskiego

Wiadomo, że Chiny stanowią jedną z kolebek ogólnoludzkiej kultury; podobnie pismo chińskie jest jednym z najstarszych na świecie. Najdawniejszym w Chinach było pismo piktograficzne. Jak wynika z zapisów władcy Wu-Tina, było ono już stosunkowo dobrze rozwinięte w XIII wieku przed naszą erą. Pismo to składało się ze znaków, piktogramów — rysunków wyobrażających przedmioty i zjawiska przyrody. Rozwój tego rodzaju znaków został już dawno zahamowany. Pisownia tych natomiast znaków, które pozostały w użyciu — w większości wypadków zmieniła się nie do poznania.

Obecne pismo chińskie składa się z kilku tysięcy hieroglifów. Każdy z nich stanowi odrębny znak pisarski. Może on oznaczać jakieś słowo samodzielnie lub też tworzyć słowo wespół z innymi hieroglifami. Sam rysunek hieroglifu pozwala zrozumieć jego znaczenie.

Z uwagi na to, że pismo chińskie nie jest pismem fonetycznym, w używaniu go nie przeszkadza istnienie różnorodnych dialektów, tak bardzo rozpowszechnionych na terytorium Chin. Jedno i to samo pismo może być również używane w różnych językach. Tak na przykład dawniej chińskie hieroglify były używane w języku koreańskim i wietnamskim, a w języku japońskim do dziś używana jest duża ilość chińskich znaków.

Braki i niewygody związane z używaniem obecnego pisma chińskiego są bardzo poważne. Po to, by móc się posłużyć pismem, trzeba nauczyć się przynajmniej 1500—2000 hieroglifów, złożonych z różnorodnych kresek o różnorodnym układzie, trzeba nauczyć się nie tylko ich pisowni, lecz również ich znaczenia oraz wymowy. Ze względu na trudności związane z opanowaniem chińskiego pisma, dzieci uczą się u nas w szkole elementarnej przez sześć lat, podczas gdy powiedzmy Ujgurom w

Sincjanie, którzy posiadają pismo fonetyczne, wystarcza do tego cztery lata. Po to, by Chińczyk — człowiek dorosły, nauczył się czytać i pisać, potrzeba co najmniej dwóch lat. Poza tym istnienie hieroglifów stwarza bardzo poważne trudności przy układaniu i korzystaniu ze słowników, przy pisaniu na maszynie, przy przesylaniu depesz, układaniu katalogów itp. Weźmy dla przykładu pracę przy składaniu tekstów w drukarni: teksty dotychczas trzeba składać ręcznie, gdyż skonstruowanie linotypu posiadającego matryce kilku tysięcy hieroglifów, jest sprawą niezmierznie trudną.

Obecnie, gdy w naszym kraju do kultury i nauki garna

się miliony ludzi, gdy władza ludowa w Chinach zwraca tak baczną uwagę na rozwój duchowy społeczeństwa, fakt istnienia pisma hieroglificznego w znacznym stopniu utrudnia szybkie upowszechnienie oświaty. Oto, dlaczego już od dawna dojrzała konieczność reformy chińskiego pisma.

Dążenie do przeprowadzenia reformy i do przejścia na system alfabetyczny zapoczątkowane zostało w Chinach już przed 60 laty. Chińscy uczeni opracowali i przedłożyli kilkadziesiąt projektów stworzenia pisma fonetycznego. Jednak rozdrobienie dawnych Chin oraz brak poparcia ze strony dawnych antyludowych rządów stało się przeszkodą nie do pokonania dla realizacji reformy. Zwycięstwo rewolucji stworzyło pomyślne warunki dla wprowadzenia reformy w życie. W 1949 r. Mao Tse-tung w swym dziele pt. „O nowej demokracji” pisał: „Pismo winno być w odpowiednich warunkach zreformowane...”

W lutym 1952 r. rząd Chińskiej Republiki Ludowej powołał do życia Komitet do Spraw Reformy Pisma Chińskiego. Rozpoczął się praktyczne przygotowania do realizacji dawnych marzeń ludu chińskiego. Trzeba jednak przyznać, że zamiana obecnego pisma chińskiego na pismo fonetyczne jest dziełem niezwykle trudnym i skomplikowanym. Dlatego też zdecydowano podzielić reformę pisma na dwa etapy: uproszczenie pisowni istniejących hierogli-

fów, a następnie stopniowe wprowadzanie pisma fonetycznego.

Prace mające na celu uproszczenie pisowni hieroglifów prowadzone są głównie w dwóch kierunkach. Jednym — jest zmniejszenie liczby hieroglifów, a drugim — zmniejszenie ilości kresek w każdym z nich. Komitet opracował już projekt uproszczonej pisowni hieroglifów. Proponuje się usunąć całkowicie 1.198 hieroglifów oraz znacznie uprościć pisownię 798 hieroglifów, mających obecnie skomplikowaną budowę.

Komitet pracuje także nad projektem pisma fonetycznego. Całkowite przejście w Chinach na pismo fonetyczne będzie oczywiście procesem długotrwałym. Przecież Chiny obejmują olbrzymie terytorium, zamieszkałe przez setki milionów ludzi. Konieczne jest uprzednie przeprowadzenie unifikacji wymowy. Dużą trudność stanowi również fakt, że poszczególne rejony kraju różnią się od siebie poważnie stopniem rozwoju kulturalnego. Dlatego też przez dłuższy czas w Chinach będzie w użyciu zarówno pismo hierograficzne, jak i fonetyczne. Stopniowo pismo fonetyczne będzie się coraz bardziej upowszechniać aż wreszcie stanie się pismem panującym. Dotychczas to będzie języka chińskiego; mniejszości narodowe zachowają nadal swoje własne języki.

Widać jednak, że nawet w krótkiej rodzinie serce nie służy, tym więcej, jeśli mężczyzna jest człowiekiem rzeczywiście przystojnym, a takim właśnie jest plk. Townsend. (tp)

„Odczepcie się ode mnie” —

mówi księżniczka pod adresem dziennikarzy

London, Anglia i cała Współnota Brytyjska żyje ostatnio skandalem księżniczki Małgorzaty, która jak podaje prasa „otwarcie uwodził pułkownika lotnictwa Townsenda”. Sprawa ta interesuje się cała prasa, opinia, no, i naturalnie rząd Jej Królewskiej Mości. Rzecz jest istotnie poważna, gdyż znów grozi królewskiej rodzi-



nie megalians. Poruszone są nim wybitne osobistości. Minister Macmillan wyraził pod adresem pułkownika uwagę, że „nie posiada on krwi królewskiej”.

Pułkownik ma lat 41 i w czasie ostatniej wojny brał udział w „bitwie o Anglię”; księżniczka ma lat 25 i, jak w kuarach królewskich się mówi, zawsze była „trudnym dzieckiem”. Znała jest przy tym z ekstrawagancji; cieszy się popularnością w różnych nocnych lokalach bardziej atrakcyjnych miejscowości świata. Dopomaga jej w tym nieprzeciętna uroda.

Obecnie, aby uniknąć większego rozgłosu, zakochani udali się w odwiedzin do kuzynki księżniczki — pani Wills zamieszkałej w pałacu Berkshire pod Londynem. Dziennikarze i fotoreporterzy dowiedzieli się jednak o tym, urządzając formalne obłożenie parku i pałacu. Nie więc dziwnego, że księżniczka przez rzeczniczkę prasowego rządu prosiła, aby dziennikarze ze względu na jej siostrę królową Elżbietę zachowali umiar i nie zajmowali się prywatnym życiem najbliższej rodziny monarchini. Prasa jednak nie bardzo bierze do serca prośby Małgorzaty, pasjonując się „problemem”: Czy księżniczka wybierze miłość czy pieniądze.

Zgodnie z ustawą o małżeństwach członków rodziny królewskiej z 1772 roku, jeśli siostra panującego popełni megalians, traci prawo do pensji państwowej, która wynosi nie było co, bo 6 000 funtów szterlingów rocznie, a 15 000 funtów szterlingów rocznie, gdy wyjdzie za mąż za „człowieka krwi”. Znosi się na to, że księżniczka wstąpi w ślady księcia Windsora, byłego króla Edwarda VIII, który jednak wolał uroki p. Simpson od korony i wszystkich jej przynależności.

Widać jednak, że nawet w krótkiej rodzinie serce nie służy, tym więcej, jeśli mężczyzna jest człowiekiem rzeczywiście przystojnym, a takim właśnie jest plk. Townsend. (tp)

Ze starych szpargałów

MISTRZOWIE CECHU
MALARSKIEGO
I RUBENS

W roku 1579 król Stefan bractwu malarzkiemu w Poznaniu ustawy nadał. Uczniowie tego zgrupowania 4 lata nauki poświęcać mieli; po upływie tego czasu wolno im było wędrować dla większego siebie wydoskonalenia. Czeladnik przed wyznaczeniem się obowiązany był wymalować trzy obrazy, z których pierwszy Panie Najświętszą, drugi Ukrzyżowanie Chrystusa Pana, trzeci św. Jerzego na koniu wystawiać miał. Czeladnik pobierający za żonę wdowę lub córkę malarza dwa tylko obrazy winien był malować, prawo zwalniało go od malowania trzeciego (!). Każdy mistrz cechu malarzkiego żenić się był obowiązany. Wydając to urządzenie uczonego król miał podobno na pamięci Rubensa, który w żonie swej uznał piękności znajował. Przykładne sprawowanie się młodych malarzy pieniężnymi i cielesnymi karami zastrzeżono.

O, martwiecie się, panowie plastycy, że tak wiele lat już minęło, jak nas odumart

nieodżałowany, nieoceniony w swej uczoności król Stefan! (I. R.)

KLATWA BISKUPIA

„O użytki rzeki Warty istniały od dawna spory między Kapitułą a urzędem miejskim. W 1424 roku Władysław Jagiellończyk ugodził spór w następujący sposób:

1-mo: Wolne pastwisko na łąkach pod miastem przynależne zostało obu stronom.

2-do: Biskup z Kapitułą zobowiązali się wystawić most na Łasze pod pałacem biskupim.

3-tio: Opłata od mostu na pół grosza od wozu ustanowiona została.

Spory te magistratu z biskupem o użytki rzeki w dwadzieścia lat potem jeszcze uspokojone nie były. Ówczesny biskup urażony na magistrat poznański rzucił klątwę na miasto. Władysław Jagiellończyk strofował go o nadużycie władzy i o bie strony wezwał dla rozpoznań sprawy. Zwyciężył magistrat. Ulica zwana Kapitułną Grobla, czyli dzisiaj Chwałiszewo, otrzymała prawo miejskie.” (I. R.)

Uniwersalna roślina

W delcie Dunaju i wzdłuż jego brzegów, na ogromnej przestrzeni, rośnie trzcina błotna. O rozmiarach tej przestrzeni świadczy fakt, że w samej tylko delcie zbiera się co roku ponad 2,5 miliona (ton suchej trzciny). Miejscowa ludność używa jej do opał, posyca strzechy i jako karmy dla bydła. Badania uczonych rumuńskich wykazały ostatnio, że trzcina naddunajaska jest doskonałym i nie wyczerpanym źródłem taniego surowca dla przemysłu. Z rośliny tej otrzymać można: celulozę, włókno, spirytus, garbniki, kwas mleczny, glicerynę itp. Podjęto już doświadczenia produkcyjne kartonu. W

tym celu zbudowano specjalną fabrykę w Tulczy, gdzie z czasem powstanie wielki kombinat, w którym produkować się będzie tania celuloza dla przemysłu chemicznego i papierniczego. Przewiduje się, że roczna produkcja celulozy w tym kombinacie osiągnie 3 miliony ton, czyli więcej niż wynosi obecnie łączna produkcja celulozy w Rumunii. Konstruktorzy rumuńscy pracują obecnie nad prototypem maszyny do mechanicznego cięcia trzciny błotnej. W ten sposób ta mała pożyteczna roślina może stać się ważnym niebawem pożytkiem w gospodarce narodowej Rumunii.

Matematyka harmonijnych dźwięków

(Dokończenie ze str. 1)

3:2 jest „kwintą” g:c, 4:3 „kwartą” f:c, 5:4 „wielką tercją” etc. Pitagorejczycy dali kompozytorom przyszłości generalną wskazówkę: akord jest tym bardziej harmonijnie brzmiący, im stosunek częstości drgań posługuje się mniejszymi liczbami. Tak więc „oktawa” (2:1) brzmi harmonijnie niż „kwinta” (3:2). Przykładem pierwszej: akord C, c,

przykładem drugiej akord g, c. Pitagoryjski akord c, g, C — o „harmonijnej” proporcji częstości drgań 1:3/2:2 jest już przykładem dobrego współbrzmienia trójdźwięku. Pitagorejski jednostrunny monochord zakończył w swoim czasie swą teoretyczną rolę u podstaw harmoniki. Mijały wieki, pojawiały się na firmamencie teorii harmonii nowe świetne nazwiska badaczy, wyrosły nowe dziedziny w uroczym kró-

lestwie dźwięków: metryka, rytmika, melodyka, dojrzała też do swej ostatniej formy skala muzyczna „równomiernie utemperowana”, jak ją rozpoznajemy na klawiaturach koncertowych „Bechsteinów” i naszych doskonałych „Calisii”.

PERYPETIE SKRZYPKI I NIEWZRUŚCZONOŚĆ MATEMATYKI

Oto i nasza skala muzyczna „równomiernie utemperowana”. Odstepy c—d, d—e, e—f, f—g, g—a, a—b, są równe i całkowite, gdy odstepy e—f, oraz h—c są też równe ale półtonowe. Na naszym rysunku klawiatury można odczytać nazwy dźwięków, wydawanych uderzeniem odpowiedniego klawisza. Dźwięki cis, dis, fis, gis, ais (klawisze czarne) to szereg chromatyczny czyli „barwny”, wstawiony dla zmniejszenia odstepów między dźwiękami. Liczymy klawisze w obrębie jednej oktawy. Jest ich 12 od niższego c do C następnej oktawy. Zgodnie z tym, co powiedziano przedtem, stosunek częstości drgań strun C oraz c ma być 2:1, to znaczy struna C ma wykonywać w ciągu sekundy dwa razy więcej drgań niż struna c, dając dźwięk dwa razy wyższy. Rozwiązanie techniczne tego „stosunku dźwięków” czyli interwału 2:1 może być takie: struna C musi być dwa razy krótsza. Jak wszakże postąpić z „interwałami” pozostałymi? Jak mianowicie wyrazić interwały czyli stosunki częstości drgań strun dwóch sąsiadnych? Liczby te dla zachowania równości odstepów muszą być równe. To jedna uwaga. Po wtóre muszą być tak dobrane, by częstość drgań struny c, którą nazwijmy: 1, mnożona systematycznie przez tę liczbę dwanaście razy dała częstość drgań struny C, którą nazwijmy: 2. Jeszcze jasniej: przez jaką liczbę należy kolejno dwanaście razy pomnożyć liczbę 1, aby wypadła liczba 2?

AKORDY NIECZyste... „MATEMATYCZNE”

Liczba ta rzeczywiście istnieje musi i też istnieje, ale jest „niewymierna”, bo wynosi $\sqrt{2}$. Daje się mianowicie przedstawiać coraz lepszymi przybliżeniami dziesiętnymi, ale na tym i koniec. Oto dość dobre przybliżenie liczby: $X = 1,059...$ Autor, kładąc trzy kropki, podkreśla niewymierność liczby. Znalazł ją ra chunkiem logarytmicznym, czy za jej cztery znaki, znaków dalszych, choć istnieją jakoby huregan nieskończony cyfr, nie chce mu się szukać. Spraw dzenie zostawia autor Czytelnikowi: „niewymierna” liczba: 1,059 mnożona przez siebie ko lejno dwanaście razy wyniesie około 2, częstość struny c wzrośnie do częstości struny C i matematyk, spełniwszy swoje zadanie, może odejść...

Pozostaje jednak na placu konstruktor instrumentu i artysta. Dla pierwszego — przed sięwzięciem beznadziejnym byłoby „własnoręczne” zapewnić nie strunie cis drgania 1,059... razy częstszego niż strunie c,

a znów strunie d drgania 1,059... razy 1,059... czyli około 1,122... razy częstszego niż tejże strunie c. Zatem interwały wyraża się też dogodniej szymi liczbami ułamków zwy- czajnych: 1:9/8; 5/4; 4/3; 3/2; 5/3; 15/8; 2 (zobacz rysunek) zamiast liczbami „niewymiernymi”, przy których niewzruszenie musi tu stać matematyka. I tak interwał d—c wynoszący w tym zapisie 9/8:1, czyli 9/8 daje z podzielenia liczby 9 przez 8 liczbę 1,125 a więc właśnie około 1,122... Akordy na żadnym fortepianie świata nie są więc czyste „matematyczne”. Pianista wie o tym i jest świadomy, że nie ma na to rady. Ma przed sobą klawiaturę z oktawami, z których każda ma 12 tonów i tego się trzyma. Inaczej skrzypek, zwłaszcza, jeżeli bogowie obdarzyli go „absolutnym słuchem” Paganiniego. Dostraja oto przed koncertem struny swych skrzypiec do fortepianu, ale — nie mając, jak pianista, klawiatury przed sobą, a tylko „czucie” dźwięku, wyczarowywanego mistrzowskim przyciśnięciem skracanej i wydłużanej struny, kieruje się słuchem, „bierze” więc np. „zwiększoną kwartę” jako 7:5, biorąc — rozbrat ze zwiększoną kwartą „temperowaną” (3). Audytorium nieruchomieje w ekstazie zachwyty, ale matematyka z zażenowania wylamuje sobie ręce na wysokiej galerii auli naszego uniwersytetu.

POEZJA DZWIĘKU I LICZBY

„Poesis” — była to u Greków twórczość. Jest nią i muzyka, tworząca dźwięki i szukająca dla nich harmonii, jest nią i matematyka, tworząca liczby i szukająca dla nich związków. Obie mają swych fanatyków i apostołów, nieraz w jednej osobie, jak uczy przy kład wspaniałego starca z Samos. Nie przeceniajmy jednak jego roli w rozwoju teorii muzycznej. Słynny wzór Mersenne’a na częstość drgań struny:

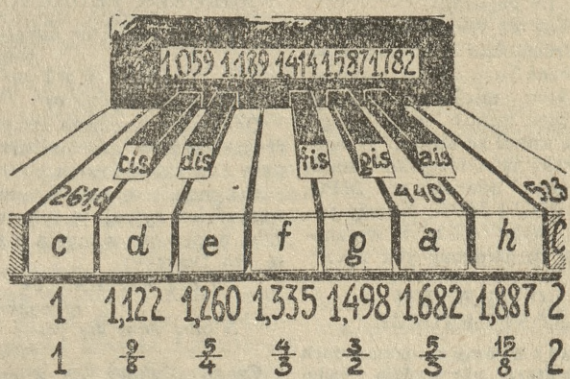
$$n = \frac{1}{2Lr} \sqrt{\frac{P}{\rho}}$$

ujmuje bardziej wszechstronnie i wytwornie częstość drgań struny, niż dla swego monochordu ujął to Pitagoras. Oto w tym jednym „suchym” na pozór wzorze zaklęte są miliony miliardów dźwięków. Zmieniajmy długość L struny, jej promień r przekroju, jej siłę P naciągu i ciężar właściwy d metalu struny, a wyczarujemy symfonię, jakiej — nie słyszało ucho ludzkie! Wszedłabyś liczba π (pi = 3,14...) też z klasy „niewymiernych”, a nawet „przestępnych” jest tu niejako stemplem matematyki, rozpinającej pajęczynę swych formuł nad całym światem zjawisk. Tylko brak miejsca nie pozwala nam tu zamieścić wzoru... również dla całej symfonii, która zapełniłaby mogła sąsiednia partytura. Dźwiękami radza liczby, muzyka to matematyczna ich prawiłowość. Warto sobie to u- przytomnić, przestępując próg sali koncertowej.

Dr Włodzimierz Krzyżaniak

2) Wprowadził ją teoretycznie jako 12-półtonową Neidhardt w latach 1706—1724.

3) Wynosi ona (fis:c) ściśle 1,059:1 = 1,414:1, gdy 7,5 jest 1,4:1.



Klawiatura fikcyjnego fortepianu z jedną (dla uproszczenia) oktawą od c do C, ale — jak w rzeczywistych fortepianach — 12-półtonową równomiernie „utemperowaną”. Struna a wykonuje 440 drgań/sek., taki bowiem „strój” muzyczny przyjęto dla niej umową międzynarodową z r. 1939. Struna c, uwzględniając jej interwał, drga 261,6 razy/sek., gdy struna C jako „oktawa” — 2 razy więcej, czyli 523,2 razy/sek. By z dźwięku c otrzymać cis, najbliższy mu z 12-tu dźwięków oktawy, trzeba częstość drgań struny c pomnożyć przez 1,059, by znów z cis otrzymać następny dźwięk d, trzeba częstość drgań struny c pomnożyć dwukrotnie przez 1,059 czyli przez 1,059 razy 1,059 = 1,122 itd. Ułamki zwyczajne — wypisane u dołu pod współczynnikami „niewymiernymi” — mają pewien związek ze skalą pitagorejską. Łatwo wyliczyć że np. 9/8 = 1,125 różni się, choć nieznacznie (dla ucha nieuchwytne) od 1,122.

Ryby można łowić także... bez sieci

Na Kamczatce na rzece Oziernaja przeprowadzone zostały interesujące próby zastosowania prądu elektrycznego przy połowie ryb. Jak wykazały badania, ryby bardzo silnie reagują na prąd elektryczny przechodzący przez ich ciało. Przy pomocy prądu elektrycznego można nie tylko zmusić rybę do zajęcia dogodnego dla połowu położenia, ale i wejścia do sieci.

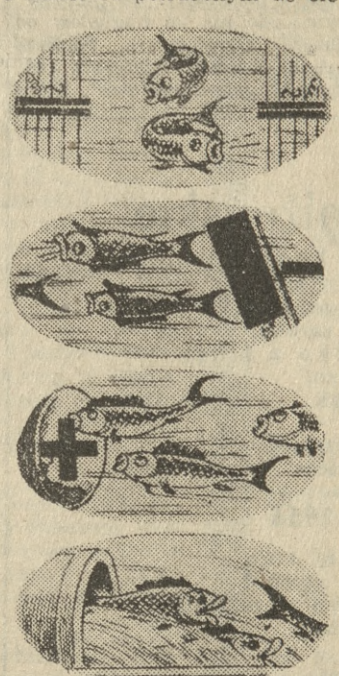
„REGULACJA RUCHU”

Kandydat nauk technicznych N. Czernychin na łamach czasopisma „Technika młodoży” dzieli się doświadczeniami przeprowadzonymi na wymienionej rzece Oziernaja. Do zakończenia metalowego leja włącza się biegun dodatni prądu elektrycznego przez co staje się on anodą, a elektrody połączone z biegunem ujemnym prądu tj. katodę rozstawia się w określonym porządku na drodze pływania się ryb np. w rzecie. Ryba wpadając w pole elektryczne podchodzi pod działaniem prądu do anody, tj. do leja ssącego. Silny prąd wody wchłania rybę i niesie ją rurą do zbiornika rybnego. Na tej zasadzie polega elektro-połów ryb czyli połów bez sieci. Bez zastosowania elektrycznego prądu stałego ryba sama do leja ssącego nie zbliży się, gdyż będzie wiedziała wrodzonym instynktem, płynąc przeciwnie prądowi, oddalając się jak najwyżej. Dopiero działanie elektryczności przysługuje naturalny instynkt. Ponieważ dla większych ryb wymagane jest mniejsze napięcie prądu można przeprowadzić przy połowie selektywne ryb na większe i mniejsze.

BEZ SZKODY NA RYBIE ZDROWIU

Ryby wpadając w pole elektryczne przechodzą dwie strefy. W pierwszej zdradają niepokój w ruchach, a dopiero w drugiej strefie pod działaniem prądu skierowują się mechanicznie do otworu leja ssącego. Przeprowadzone badania nad rybami gatunku lososiowego wykazały, że ryby złowione „elektroniewodem” niczym nie różnią się od złowionych zwykłym sposobem. Ryby te po pobycie w polu elektrycznym nie tracą zdolności rozrodczej. W czasie prób dokonanych na jednym z dopływów rzeki Oziernaja po połowie przeprowadzonym zwykły mi sieciami zamknięto siatką metalową pozostałe ryby a po bokach ustawiono katody, po-

środku zaś anodę z lejem ssącym. Nasylenie elektrycznością wody odbywało się przez stację pomocniczą, gdzie prąd przemysłowy trójfazowy 380 Volt zamieniony został w prąd o nasileniu potrzebnym do ele-



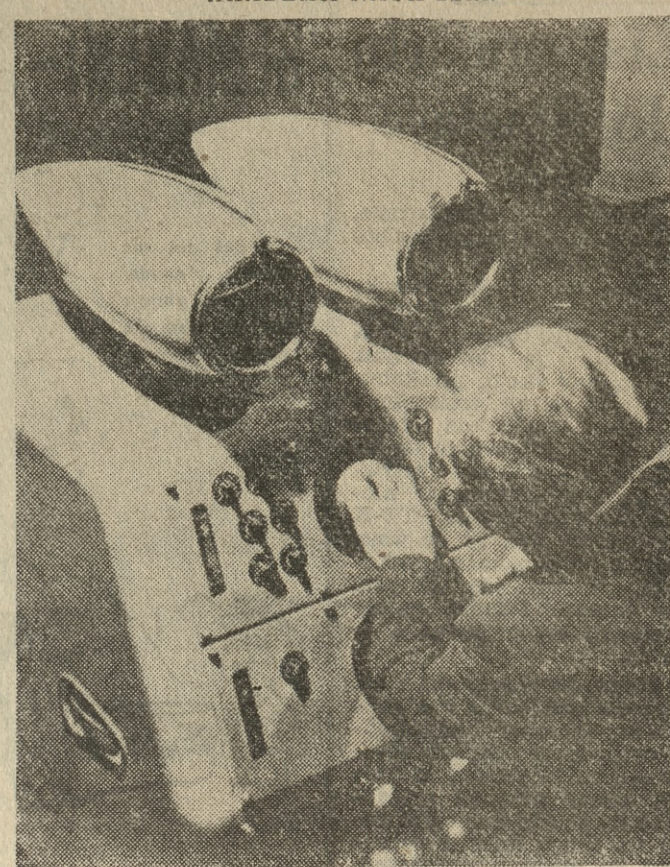
ktropołów, tj. siły 15—18 Volt w ciągu 50 godzin połowów próbnych wylowiono 609 cetnarów ryby.

WIELKIE OSZCZĘDNOŚCI

Nowy sposób połowu ryb wykazał znaczne zalety. Przede wszystkim zredukował ilość ludzi potrzebnych do obsługi przy zwykłym połowie tej ilości ryb o 67 osób. Do obsługi elektropołowu potrzeba obecnie 10 ludzi a w przyszłości, po udoskonaleniu pracy i narzędzi, wystarczy tylko 6 osób. Jak wykazały próby na rzece Oziernaja musi być jeszcze udoskonalona pompa ssąca, idąca od leja i przepuszczająca ryby do zbiornika rybnego. Dalej trzeba udoskonalить pole elektryczne stwarzając lepsze warunki dla wejścia ryb w strefę nasyconą elektrycznością.

Pierwsze doświadczenia przeprowadzone na Kamczatce otworzyły nowe horyzonty dla mechanicznego połowu ryb. Na razie eksperymentowano na wodach słodkich. Obecnie laboratorium Oceanicznego Instytutu Naukowo-Badawczego na Kamczatce pracuje nad zastosowaniem elektropołowu na morzu. (h)

W INSTYTUCIE ZAGADNIEN JADROWYCH
AKADEMII NAUK ZSRR



Naukowiec specjalnym oscylografem kontroluje pracę synchrocyclotronu.

Fot — CAF

Patent i wiatrówki

Podobno pierwszym wielkim uczonec, który uzyskał patent na wynalazek, był Galileusz. Był to rok 1594. Od tego czasu instytucja patentu stale się rozwija, a godność dzisiejszych urzędów patentowych płaszczyły zarówno wysoki osobistości ówczesnego świata (Ludwik XIV, Henryk IV), jak i instytucje naukowe (Akademia Francuska w roku 1699). W Polsce zobowiązany jest do pełnienia czynności patentowych Urząd Patentowy PRL. Ten też Urząd wydaje u nas szereg periodyków, m. in. „Ważniejsze Wynalazki Opatentowane Zagranicą”. Kwartalnik ten zawiera wykaz prze tłumaczonych na język polski tytułów ważniejszych wynalazków opatentowanych w ostatnim czasie w Zw. Radzieckim, Czechosłowacji, NRD, Austrii, Francji i Szwajcarii. Wśród ponad 150 zgłoszonych

patentów radzieckich, znajduje się bardzo wiele wynalazków o dużym znaczeniu gospodarczym. Jeden z licznych patentów Solowiowa na sposób wyrobu tkanin na wiatrówki — wynalazek godny po zazdrości naszego przyjaciół, zważywszy, że nasze wiatrówki co do trwałości, szczególnie koloru, stale pozostawiają jeszcze wiele do życzenia.



BRZEMIEŃNY WNIOSEK

Podczas debaty w brytyjskiej Izbie Gmin nad problemem przestępczości wśród młodzieży, labourystowski poseł Mr. Barnett Janner wniósł projekt o wprowadzenie obowiązku zezwolenia na noszenie noży sprężynowych. Jednocześnie mówca, by dodać wagi swemu wnioskowi, zademonstrował przed czcigodnym audytorium model takiego noża. Po nim podniósł się speaker Izby Gmin i z punktu nałożył wysoką karę porządkową na Mr. Barnett Jannera. Rygor swój uzasadnił ustawą z roku 1685, na mocy której uczestniczenie w sesji parlamentu z bronią w ręku, jest surowo zakazane. Oniemiała z wrażenia Izba Gmin zapomniawszy o dalszej debacie jak również o przedłożonym projekcie.

NARESZCIE

RÓWNOUPRAWNIENIE

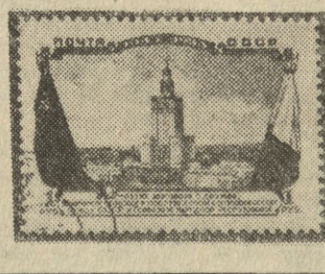
Dla mężczyzn włoskich otwarta została w Bolonii czwarta z kolei szkoła gospodarstwa domowego. Rozkład lekcji obejmuje naukę uprzątnięcia mieszkania łącznie z gotowaniem, dalej prasowanie, cerowanie, szycie i zmywanie naczyń, a wreszcie dla mężczyzn żonaty, jeszcze wychowanie dzieci i pielęgnowanie niemowląt. Zajęcia odbywają się w godzinach wieczornych dwa razy tygodniowo, a po zakończeniu szkoły absolwenci otrzymują świadectwa. Czyżby dla okazania ich aktualnym względnie przyszłym żonom?

ZUŻYTKOWALI

W zasadzie darowanemu koniowi nie należy patrzeć w zęby, lecz ostatecznie trzeba coś z nim począć. Tęgo rodzaju zmartwienie mieli ostatnio ojcowie zachodnio-niemieckiego miasta Cuxhaven, którzy wprowadzić nie otrzymali konia, lecz wielką ilość kości wielorybich dla ich użytkowania. Po wielu debatach zdecydowano wreszcie wyprodukować z nich... ławki i ustawiać je na skwerach w parkach publicznych.

Zbieramy znaczki

W bieżącym roku obchodzimy dziesięciolecie radziecko-polskiego układu o przyjaźni, pomocy i współpracy. Z tej okazji poczta Związku Radzieckiego



wydawała specjalną serię, składającą się z czterech znaczków: jednego o formacie obrazka — 31 x 42 mm i trzech o formacie 42 x 31 mm.

Na pierwszym znaczku, wartości 40 kopiejek, koloru szarofioletowego, widzimy Pomnik Braterstwa Broni w Warszawie. Znaczek ten wykonano według projektu artysty-plastyka W. W. Andrejewa. Na drugim znaczku, również wartości 40 kopiejek w kolorach: niebieskim, fioletowym i czarnym, umieszczono portret A. S. Puszkina i A. Mickiewicza. Ten znaczek projektował artysta-plastyk W. W. Zawiatow.

Na trzecim znaczku, wartości 1 rubla, wykonanym wielobarwnie w rotogravurze, według projektu artysty-plastyka E. N. Gundobina, pokazano reprodukcję sławnego obrazu Jana Matejki pt. „Kopernik”. W prawym górnym narożniku znaczka umieszczono w owalu reprodukcję autoportretu Jana Matejki.



Wreszcie ostatni znaczek tej serii, wartości 1 rubla, w kolorach szarym i czerwonym, wykonany według projektu artysty-plastyka S. A. Pomajskiego, pokazuje Pałac Kultury i Nauki im. Józefa Stalina w Warszawie. Po stronie lewej tego znaczka znajduje się flaga radziecka, a po stronie prawej polska. Na znaczku umieszczono napis: „10 lat układu o przyjaźni, wzajemnej pomocy i współpracy między ZSRR a Polską Republiką Ludową”. Seria tych znaczków powinna się znaleźć w zbiorach wszystkich polskich filatelistów. Spośród wymienionych reprodukcujemy trzy znaczki.

dr Zygmunt Gniady

List otwarty do Stasia

Drogi Stasiu!

Cudownie, fantastycznie, po prostu nie mogę znaleźć słów zachwytu.

Mam na myśli wycieczkę do Wrocławia na międzynarodowy mecz żużlowy. PTT-K urządziło ją autokarami. Wiesz, mój drogi, przekonałem się, że my traktujemy autokary trochę po staroświecku. Wydaje nam się, że taki wóz jest czymś sztywnym, nieelastycznym, nierozciągliwym. Bujda! PTT-K przekonało nas, że do wozu można ludzi pakować, pakować, pakować jak sardynki do puszki. Później należy wszystko zapłombować i — jazda.

Jazda do Wrocławia była szalenie przyjemna. Ponieważ dla zapewnienia bezpieczeństwa podróży przejścia zatrasowano krzesłami, osobnicy, którzy pragnęli przedostać się z jednego końca wozu na drugi, musieli wędrować po głowach siedzących. Na mojej głowie jeden z nich nawet się potknął — co było bardzo zabawne — ale na szczęście nie upadł, bo na upadek potrzeba przynajmniej pół metra kwadratowego przestrzeni. Przyjemność podróży psu mi tylko widok jednej zmęczonej muchy, która latała biedaczka po całym autobusie nie mogąc ani rusz znaleźć siedzącego miejsca. Serce mi się krajało.

Do Wrocławia przyjechałszy tuż przed rozpoczęciem zawodów, więc stadion był prawie pusty — zaledwie sto tysięcy ludzi. Rzecz jasna mieliśmy bilety na miejsca siedzące — ja więc kucnąłem między ławkami dając oparcie czterem panom z różnych stron Polski, a Alfred stał przede mną na jednej nodze, trzymając się kolanem jakiejś starszej pani.

Poziom zawodów był bardzo wysoki, o czym dowiedziałem się z relacji sąsiada, który wspierał nogę o mój obojczyk i wykrzykiwał co chwile ze złością: „Ale jada! Te Angliki, jasna cholera!”. Plecy Alfreda same w sobie stanowiły widok niesłychanie interesujący, ale pod koniec zawodów zacząłem się zastanawiać, czy naprawdę warto było przyjechać do Wrocławia, aby je oglądać?

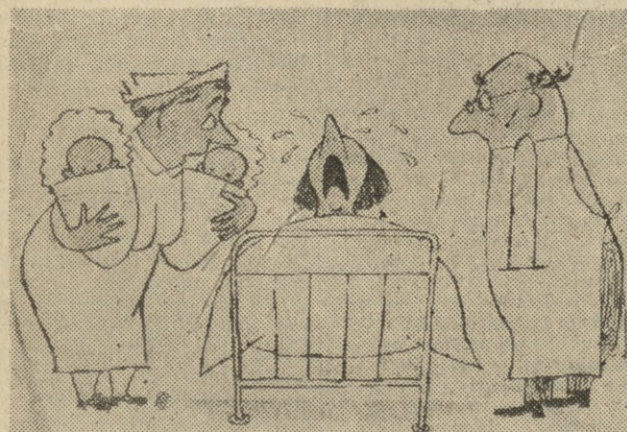
Niestety próba buntu skończyła się tym, że przyciśnięto mi głowę do ławki, a sąsiad, który wspierał nogę o mój obojczyk, pouczył mnie uprzejmie: — „Co się pan tak ruszasz, do jasnej cholery! Kucaj pan dalej spokojnie!”. I oparł swoją lewą nogę na moim prawym ramieniu. Kucałem więc dalej i biłem zapamiętale brawo, bowiem na równi z innymi ogarnął mnie tzw. szał. Sportowy, oczywiście.

Jeśli chodzi o ciekawsze zjawiska na stadionie, to zauważyłem, że Alfred na plecach ma małą plamkę z atramentu. Potem był jeszcze cudowny powrót do Poznania, gdzie każdy z nas usnął, marząc o nowych wycieczkach. Tyle na dziś, drogi Stasiu.

Kończąc chciałbym jeszcze raz podkreślić, że jeśli PTT-K coś zorganizuje — to mucha nie siada. Tę w autobusie obserwowałem dość długo; nie usiadła ani na moment.

Ukłony dla małżonki

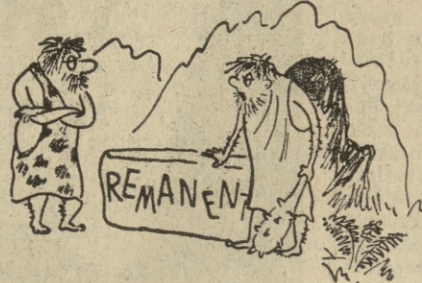
Twój Tadek



— Ona mówi panie doktorze, że dobrze liczyła... 1 było troje!
Rys. Karol Schrader

REMANENT — Nic nowego pod słońcem

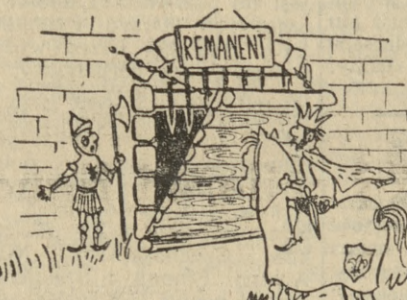
— Coś mi się wydaje, Adamie, że dziś znowu nie uda nam się popełnić grzechu pierworodnego.



— Napis już mam, teraz trzeba tylko zastanowić się, do czego go użyć.



— No, nareszcie zabrali się do uporządkowania wszystkich bogów.



— Król, czy nie król, nie mnie nie obchodzi: remanent i basta.



— Nic z tego, kochana, na Warszawie znów remanent.

Rys. Z. Jujka

Wydawałoby się, że gdy chodzi o tak zwane remanenty wszystko już zostało powiedziane i że na tym polu niczego nowego nikt nie wymyśli.

Tak sądziłem do wczoraj, to znaczy do dnia, w którym przysłała trzyosobowa delegacja z administracji, aby wymierzyć... powierzchnię biurka w centymetrach kwadratowych.

W pierwszej chwili myślałem

POMYSŁOWOŚĆ DO KWADRATU

żem się przestyszał, że miewam zwiady albo — że ostatecznie jestem w teatrze. Chwila ta jednak, niestety, tym różniła się od współczesnej sztuki polskiej, że działa się naprawdę w życiu, że była, proszę was, re-a-li-szty-czna. Delegacja z uśmiechem mierzyła mi biurko, wybuchł nawet mały spór o jakieś tam pół centymetra. Po moim osobistym przytrzymaniu lineal z jednej strony, przez co przyczyniłem się do uwiecznienia wymiarów mego biurka na odpowiednim arkuszu z odpowiednią ilością kopii.

Po wyjściu delegacji rozpisaliśmy między sobą mały konkursik na temat „po kiego diabła mierzymy biurka?”. Odpowiedzi były podzielnione.

Henio np. twierdził, że nie po diabła lecz z konieczności. Biurka są stanowczo za duże. Obliczył szybko: z każdego będzie można obciąć po 17 centymetrów bieżących, czyli jakiegoś 400 centymetrów kwadratowych. Jeżeli to pomnożymy przez liczbę biurk istniejących w PRL, to otrzymamy imponującą cyfrę oszczędności drzewnych, z

Wiele osób zwraca się do mnie z podobnym pytaniem. Przy czym na ogół twierdzą, że:

1. moje fraszki są do luzu, 2. ich fraszki (które piszą, pytając jak się pisze) są dobre, ale ich nie drukują, bo klika i w ogóle.

Pragnąc im wszystkim przyjść z pomocą podaję parę przepisów i wzorów, które — oczywiście — nie wyczerpują sprawy. Każda fraszka musi mieć: a) sens, b) ostrze, c) rytm, d) rym, e) musi być dobra.

Sens jest to cecha, której autor zwykle nie rozumie, ostrze ma być skierowane — oby nie przeciw czytelnikom. Może się na nich stępić — a poza tym jest to kawał z broda, która rośnie w dalszym ciągu niezagrożona.

Rym... Rym!... Rym jest to po prostu równoznaczność końcówek wyrazów. Nie może być jednak równoznaczny z taką np. częstochową. Rymów typu: miała spała, żyła-była na ogół się nie używa.

Używanie świadczy jednak o pewnej oryginalności twórczej. Rytm liczy się na palcach — tak, aby z obydwu stron wiersza była równa ilość tzw. sylab. Niekiedy autorzy liczą rytm na palcach od nóg. Wtedy mówimy, że ktoś pisze jak noga... Fraszka może nie mieć wszystkich wyżej wymienionych elementów o ile ma ostatni — tzn. jeśli jest dobra.

Zacznijmy na przykładach. Najbardziej cenionymi w redakcjach są tzw. fraszki interwencyjno-adresowane. Pod takim mottem fraszki może podpisać wszelką bzdurę — byleby samo motto było w coś.

Fraskę taką można np. tak napisać:

ACH!

Dnia 26 października o g. 17.46 (nie wiem na pewno, bo zegarek się spieszy) przechodząc ulicą 27 Grudnia na odcinku między placem Wolności a ulicą Kantaka zostałem silnie potrącony przez chuligana, który prawdopodobnie był w stanie nietrzeźwym, sądząc z jego zachowania się, które mi się nie podobało. Chuligan, krzyżując bardzo nieprzychylnie wyrazy, zaczynające się od niektó-

Witold Zechenter

Dialogi małżeńskie

W roku 1905

— Dokąd, dokąd to, Jasiu, tak wybierasz się szybko?
— Na śniadanko z kolegą, ukochana ma rybko.
Jeden tylko kufelek i zakąska do tego — za godzinę już Basiu, ujrzyś męża swojego!

W roku 1955

— Dokąd, dokąd to, Jasiu, tak wybierasz się szybko?
— Na zebrańko w zakładzie, ukochana ma rybko.

Jeden tylko referat i dyskusja do tego — za pół doby już, Basiu, ujrzyś męża swojego!

Wł. Scisłowski

rych liter alfabetu, skreślił w ul. Ratajskiej, nie robiąc sobie nic z oburzenia, które mu okazałem. Mój znajomy, któremu opowiedziałem to wszystko, przypomniał sobie, że i on również miał podobną przygodę w tym samym miejscu z tym, że nie o g. 17.46 (nie wiem na pewno, bo zegarek się spieszy), a o g. 18.03 (ma szwajcarski zegarek). Dlaczego w tym miejscu nie ma milicjanta? (na podstawie korespondencji ob. Antoniego Hukaly, ZBRM i STPPPP oddz. III Poznań).

Ulicę 27 Grudnia, ach! Przechodzić wieczorem — strach!

W tym miejscu trzymać przez pięć minut czytającego, aby nie spadł ze stołka. W ogóle fraszki tzw. miejskie muszą z reguły uderzać w: MPO, MHD, PDT i MPK. Należy podawać fakty ściśle i własnoręcznie sprawdzone jak np.:

O PEWNYM KONDUKTORZE

W niektórych tramwajach konduktorzy nie wydają pięciogroszów. Mnie — nie wydali ostatnio trzy razy.

Konduktor jest bałwan i półgłówek — Bo nie dał mi trzech pięciogroszów.

Satyra szczególnie ostra. Szkoda, że nie ma numeru konduktora. Słowo „niektórych” jest konieczne w tego rodzaju fraszkach — nie można niczego krzywdząco generalizować. Raz na rok wydają.

Fraszki wiejskie muszą mieć jeszcze dodatkowo trzy elementy: kulaka, GS i jurność. Nie wykluczone wyrazy czteroliterowe.

W PEWNYM GS-ie

W GS Kupiecinowo, pow. Jarocin, woj. poznańskie, już miesiąc brak pętelek i guzików.

Pętelczki — buciczki, a gdzie są guziczki? Kierownik! Znasz Krupę? Pocałuj go w ucho!

He, he. Słowo „buciczki” konieczne ze względu na rym (patrz początek). Do „Krupy” rymu nie ma ze względu od autora niezależnych. Swoistą grupę fraszek stanowią tzw. fraszki „wiecznościowe”, które

mają wejść na stałe do literatury. Tu sprawy trochę się komplikują. Redaktorzy — to też śmiertelnicy — stąd chyba ich niechęć do tego rodzaju fraszek. Tolerują czasami nagrobki. Nieboszczyk jednak musi być wrogiem. Nie należy np. nigdy pisać nagrobka dla przodownika pracy. Mógł umrzeć niekoniecznie z przepracowania. Twórcze i trafne przetworzenie tradycji epitafulnej stanowi np. taki

NAGROBEK REDAKTORA

Tu śpi redaktor świętej pamięci — nie już nie żyje — to chodź przed siebie

Oddzielną wreszcie grupą są fraszki skierowane przeciw innym fraszkopisarzom.

Pragnąc wyręczyć moich wszystkich rywali w tym względzie, napisałem z myślą o sobie tę oto fraskę:

Po cóż wszystkie te igraszki? — Naucz sam się pisać fraszki!

Czego również im z całego serca życzę.



Na wieczasach



Rysunki bez słów

Prasa poznańska 75 lat temu

5 listopada 1880 r.

A więc wczoraj dała nam p. Esipow tak zwany „wieczór Chopinowski”. Zdawało się niejednemu, że słuchanie tytułu naraz utworów Chopinowskich rozstroji nerwy i niesmak zostawi, tymczasem przekonał się każdy, że geniusz mistrza naszego tak jest wszechstronnym, że właśnie czaruje coraz więcej im więcej wstuchujemy się w boską harmonię jego cudownych tonów.

Teatr Cagliostro, dyrektor B. Scharn, najznakomitszy dziś czarnoskóry i wywoławca duchów. W piątek dnia 5 listopada br. wielkie światło przedstawienie z no wym programem: wiszące i śpiewające głowy Aniołów, podróż na około ziemi, piekło i mieszkańcy jego, wielkie zjawienie się duchów i straszdel. (Dz. Pozn. nr 254) (1)



— Stój, nie zmiataj kur! Przecież ja potem nie odróżnię starych akt od nowych!
(Ludasz Matylini, Budapeszt)

GNOM